ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 25 lutego 1922 roku. № 8.

Juljusz German. Powieść.

8) TWARZ Z ZA KURTYNY.

I ściskając je z całej siły, zapatrzony w jej oczy, coraz jaśniejszym błękitem promienne, szeptał z ust do ust:

— Przyjść, spojrzeć i znów wracać w nieprawdę, w życie fałszywe, w dzień bez pani. Strzępić się w męce. To nie słowo puste. Byłem ranny w ramię, gdy kozacy szarżowali na moje armaty. Krajano mi skórę i wyciągano kulę i odłamki kości bez żadnych eterów i chloroformów. O, mniej to, mniej stokroć bolało... Czy mi nie wolno być szczęśliwym? Ja nigdy... nigdy... Oszustwem była dotąd każda...—wydarł się jęk szczerego wyznania. — A przecież po co ta młodość moja... I cóż ja dla pani jestem? Jeden z tłumu. Skąd mnie oczy podnosić? Ale już trudno, już muszę... Żyć z panią, żyć, panią oddychać, obecność mieć pani jedyną, zakątek jej każdy upieścić...

Nie do niej już mówił, choć źrenice wtopił w jej źrenice, do kogoś obok nich, kogoś, którego istnienie czuł każdym nerwem.

— Dlaczego nie wolno mi poznać szczęścia? Przecież ono tu jest... Żeby żoną moją była, żoną...

Zatrzymał się głos na tem słowie dźwięcznem, kryształnym tonem, szukającym echa i zaostrzyły się rysy pobladłych lic.

— Niech pan już puści moje ręce, wgniótł mi pan wszystkie pierścionki w palce — powiedziała Lili melodyjnym szeptem, w którego brzmieniach wyrzut łączył się już z przebaczeniem.

Osunął się przerażony do jej kolan.

Zwolnione z uścisku dłonie położyła na jego włosach, odgarnęła mu je z czoła.

— I po co zawsze ten uroczysty smutek w takiej chwili — szepnęła z oczami świecącemi śmiałym uśmiechem, który nad przyziemne mgły rozpaczliwej zadumy wzrósł słonecznym promieniem. — Czemu twarz taka bolesna? I czemu drży cały? Aż we mnie te drżenia...

Podniosła jego rękę ku swym piersiom.

— Jak mi serce bije...

Od ciepła żywego, co, tylu zamglonemi myślami wzywane, pierwszem zbliżeniem objawiło się chętne, powiała ku niemu słodycz tajemnicy i z klęczek uniosła, rozpędzając nieufną pokorę.

Niezrozumiała rzeczywistość marzeń oślepiła wzrok tęsknoty.

Usta ich dotknęły się niepewnie i ostrożnie, jakby rozdzielone niewidzialną jakąś zasłoną. Lecz zaraz poczuł rzeźwą miękkość tych warg już powolnych i dech ich wilgotny, który pachnął jak fiołki rozsnute nad soczystą pełnią wyzłoconych słońcem owoców i w głębi krył inną, nieznaną, świątynną i leśną woń.

I nie dojrzał już jej twarzy i oczu.

Aż, ugodzony strzałą myśli niedowierzającej czujnie szczęściu: „Czy to ona, ta sama?", obudził otwarte oczy i spojrzał gwałtownie w jej źrenice.

Równocześnie przemknęło się lśnieniem momentu ostre wrażenie: „Każę to sobie ja... komuś w sobie".

W błękicie tych źrenic zobaczył błysk białosrebrny, gwiaździsty.

Głos słodko zadyszany zaszeptał:

— Nie całuj tak, bo się zakocham.

— I zgasił zaraz grozę, która zatliła się błędnie w jego spojrzeniu:

— No, kocham, ale nie jestem jeszcze zakochana. Czy rozumie ten chłopiec?

Ogarnął ją ciasno w ramiona, ucząc się radości z każdego zarysu jej kształtów.

Przesunęła pieszczotliwą dłonią po jego zachwyconej twarzy.

— O czemś myślał, gdyś przed chwilą, całując mnie, popatrzył nagle w moje oczy?

Mówił w porywie najszczerszym, który chciał najstaranniej ująć słowami mgnienia myśli, bezwzględną prawdą oddać się jej całkiem:

— W tych oczach było światło niby iskry elektrycznej, niby gwiazdy. Zdawało mi się, że ze snu zbudzony i jak w śnie nagi patrzę w noc pełną gwiazd. Ja sam i gwiazdy. I że z tych światów nieskończonych płynie krzepiąca jasną mocą wieść o istnieniach niekończących się nigdy... o mojem i pani... i twojem, Lili, Lili...

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— O tak, tak, dobrze — zagrał jej głos radosnym, głębokim dźwiękiem.

— Słyszę, jak twoje serce wciąż bije — powiedział cicho — jakby się spiesznie o coś pytało.

Oparła lekko dłoń o jego usta, bawiąc się delikatną ostrością golonego nad niemi zarostu.

— A czy wiesz, że ono bardzo chore?

To słowo wydało się jej czemś dziwacznie nieprawdziwem i mglistą tępotą groźnem. Nieprawdziwem i mglistem, jak całe jej dawne życie. Lecz z nagłym niepokojem poszukała zaraz w jego oczach cienia nienawistnego lęku, którym zdrowe ciało odrzuca precz widma chorób.

Żarliwy wzrok młodzieńczy był jak wzrok posągu, nieskazitelny czystem ubóstwieniem.

— Chore? Więc żebym mógł je pocałować...

I drżące wargi przez jej dłoń przywarł do wzdętych powiewnie fałd bluzki.

Lili pozdrowiła przelotnem spojrzeniem chłopca na obrazie, zadumanego w sprężystej nagości, który uśmiechem niedbałej dumy wyganiał upiorną tajemnicę wewnętrznych funkcji cielesnych, co zamajaczyła czerwonem upokorzeniem i błyskawicznie w norę czarnej niepamięci się zapadła.

— Chciałabym, żeby ta blizna od rany na jego ramieniu nie była

duża i sina — pomyślała, odsuwając łagodnie usta błagające nieśmiało i niecierpliwie.

— Nie można tak — szepnęła.— Czy ja się już zgodziłam? Takie historje... Mam być żoną, przykładną żoną w czepeczku...? Co za pomysł, bójże się Boga!

— Inaczej nie można. Przecież razem musimy być ciągle.

— Musimy... O, jaki pewny. — A niedawno był takiem trusiątkiem. I nie znasz zupełnie mojego życia...

— A co pani... co ty wiesz o mojem? Niepotrzebne nam to, co już było. To nie my.

— A będzie potrzebne takie małżeństwo, jak lalek?

Przyłożyła skroń do jego skroni, bujna gęstwa złotopopielatych loków zmieszała się z jego czarnemi włosami.

— Widzisz tam w lustrze! — zawołała. — Dwa profile jakby w medalionie wycięte. Bardzo, bardzo podobają mi się oba. A ja niezawsze sobie się podobam.

W zuchwałych i słodkich oczach rozwiewało się ostatnią mgłą zamyślenie.

— Jeszcze o wszystkiem pomówimy. A jeśliby się stało to dziwactwo, to tylko dlatego, żem cię spotkała wówczas na ulicy w ten właśnie dzień a nie inny.

Z półuchylonych drzwi wysunęła się zaczerwieniona twarz Hanki.

— Proszę pani, już po szóstej.

— A ja dzisiaj gram! Byłabym się pierwszy raz spóźniła!

Gdy Hanka dygnęła za odchodzącym Olszańskim, z bocznego korytarza, wiodącego do przedpokoju, wynurzyła się rozwichrzona czupryna i drwiąca twarz Józka. Niósł owinięty w bibułkę bukiet kwiatów i podskoczył do dziewczyny z dzikim okrzykiem:

— Idzie Józio z rudą buzią!

Klasnęła z przestrachu w ręce i uciekła w róg, przyciskając się do szafy.

— Boże! Wpada to jak rozbójnik albo coś gorszego! A jak mi Józek warkocza dotknie, to będę naprawdę drapać. Którędy dostał się do mieszkania?

— Kuchnia nie łaska? Po co mam zawsze włazić od frontu i wszystkim pchać się na oczy? A jak mi się właśnie nie chcę kogoś zobaczyć? A wiesz, Hanka, że przed tygodniem bandyci chcieli mnie i pana zastrzelić?

— Jezus Marja! — i chwyciła go za rękaw, jakby chcąc upewnić się, że żyje. Śniade rumieńce znikły na sekundę ze ściągłej twarzy. Zapomniała o obronnej postawie. Baczne oczy Józka nie przepuściły pomyślnej okazji. Nieubłaganą ręką sięgnął do jej włosów, roztargał w lot przyczesane gładko sploty.

— A to doprawdy wszystko się kończy! — krzyknęła ze łzami oburzenia w ciemno szafirowych oczach, zgarniejąc rozpaczliwie wpółrozpuszczony węzeł warkocza, opadły na ramię połyskującą ciemno falą i przyklepując kosmyki niesfornie nad czołem wyrosłe.

— O bandytach opowiada, fałszywy, żeby jak zbójca z nieuwagi skorzystać! Szkoda, że cię ze skóry nie obdarli!

— A płakałabyś, gdyby mnie tak całkiem zabili?

— Niech się Józek zaraz ustąpi. Nie chcę wcale gadać z takim. I muszę do pani lecieć, bo przebiera się do teatru.

Zagradzał jej drogę rozłożonemi szeroko rękami, potrząsając bukietem.

— A nie puszczę, aż mi powiesz! Ani trochę nie byłoby ci przykro? Pomyśl no...

— Tańcowałabym z uciechy, że wreszcie mam spokój — odcięła się nachmurzona, daremnie usiłując dostać się do drzwi saloniku.

— Takaś ty! Zobaczysz, jak umrę naprawdę, przyjdzie do ciebie mój duch i za to, żeś po mnie nie płakała, oczko ci wydłubie — rzekł mściwie.

— Och, jaki głupi! I z duchami żartuje! Za to cię siarką po śmierci przysmażą!

— Ty sama, jak djasek! Z włosów ci już pięć różków wystaje, oczy złe i błyszczące, jak węgle. Wywieś tylko jeszcze język czerwony i djasek namalowany!

W zielonawych oczach zgasł nagle drwiący śmiech.

Po smagłej twarzy dziewczyny spływały łzy. Zasłoniła je szybko fartuszkiem.

— Patrzcie ją, beczy — bąknął z zakłopotaniem.

— No, pewnie. Najpierw straszy, że go mogli zastrzelić, potem od złych djasków wymyśla. Tego już zadużo — szeptała łzawo. — Proszę mnie puścić.

Usunął się na bok, bezradnym ruchem potarł czuprynę, wichrząc ją jeszcze bardziej.

— Niech Hanka szop nie wyprawia — mruknął cicho. — Niby co się stało?

Skubnął za fartuszek, chcąc go odjąć od oczu zapłakanych. Odganiała natręta ręką machającą żałośnie. Namyślał się krótko, przestępując z nogi na nogę. Nachylił się, niezgrabnie musnął ustami roztargane włosy i skrawek mokrego policzka, zawadzając o ucho. Pisnęła jak przyduszony ptaszek. Odskoczyli zaraz oboje od siebie w przeciwne strony. Chłopak zagwizdał niepewnie.

— Kwiaty dla pani — szepnął i podał jej bukiet, patrząc na szafę w rogu.

Przewinęła się koło niego, wypadła z trzaskiem z przedpokoju.

— Ale drzwiami palnęła! Jak z karabinu! Jeszcze zła, jak osa! — mruczał przez zęby. — A jak włosy miała rozpuszczone, to zupełnie była inna. Dziwna jakaś... Może i ładna?

Uniósł ramiona, skurczył szyję ruchem wątpliwego zapytania. Przysiadł na krzesełku, podśpiewując z cicha i patrząc przed siebie drwiącemi a dziecinnemi oczami:

„Jeden ułan i dwie panny weszli raz do jednej wanny"...

W drzwiach ukazała się wylizana już na gładko Hanka, z twarzą obeschłą doszczętnie z łez i niepomiernie zdziwioną.

— Niech Józek kwiaty zabierze z powrotem.

— Co? — zerwał się w zdumieniu, poślizgnął, zachybotał i wywijając rękami ledwo zdążył osadzić się na nogach, rzuciwszy groźne spojrzenie na śmiejącą się już Hankę.

— Cóż to za nowe wymysły?

— Pani kazała panu odesłać. Ale Józek sztuki jak w cyrku urządza! Nos już miał przy samej ziemi!

Ważył bukiet w ręku z niechęcią.

— Widzę, że ja tu nie będę już przychodził. Pan więcej niż dziesięć dni tu nie zaglądnął. Teraz te kwiaty...

Pokiwał smutnie głową.

— Z korytarza widziałem, jak wychodził. Coś mnie tak odpychało, żeby z tym majorem się nie spotkać. Teraz wiem. No, dowidzenia, Hanka. Dawaj łapę!

— Sam sobie podaj! — obruszyła się. — Do kogo mówisz? Ja pięć klas skończyłam!

Szurgnął podeszwami, gnąc się nizko.

— Jasnej pannie pokojówce się kłaniam.

Wysunęła za nim twarz przez szparę drzwi.

— Nie przyjdzie już Józio naprawdę?

— A widzisz! Ciągle był Józek, teraz raptem Józio! — zawołał ze schodów. — Nie bój się, jeszcze ty mnie dobrze popamiętasz...

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

3) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

— To tylko taki jeden dzień — mówiła uśmiechnięta Natalja.—Nasi żołnierze są tak dobrzy! Jutro wrócą do porządku, ponieważ uzyskali to co chcieli i dali wolność naszemu kochanemu ludowi.

— Tak! — zawołała księżniczka Mirskaja, która wciąż oklaskiwała przechodzące w nieładzie wojska — jutro z tym samym zapałem podążą na granicę i pokażą Niemcom, co to jest potęga wolnego ludu.

— Co za wspaniały widok! — rzekła inna z dam. — Tylko u nas coś podobnego jest możliwem.

— Pokażemy Europie — dodał jakiś poważny osobnik — że tylko Rosja potrafi zrobić wielką rewolucję bez wylania jednej kropli krwi.

— Tak, to piękne — rzekła z kolei Lydja, której twarzyczkę zaróżowiło uniesienie — wszyscy dziś czują jednako. Jesteśmy wszyscy braćmi. Chciałabym pójść do Dumy. Odbywają się tam rzeczy wspaniałe. Ale — dodała z usmiechem, kryjącym pewne pomięszanie — niebardzo mi się podobają te wystrzały...

— To nic, kochaneczko — ponowiła Natalja Szupow-Karamin.— Pierwsza chwila upojenia. Trochę łatwo zrozumiałego zamętu.

Tymczasem fala żołnierzy przepłynęła i ulica była prawie pusta. Kilku cywilnych przechodniów spieszyło chodnikami do swoich mieszkań.

W tej samej chwili Lydja zobaczyła nawprost siebie mężczyznę, który ją podniósł przed dwoma dniami na ulicy Michałowskiej. Szedł zwolna ale postać jego i chód miały w sobie coś nakazującego i władnego, po czem Lydja poznała go natychmiast.

Zwróciła się ku Natalji i zapytała:

— Nie wie pani, kto jest ten pan na przeciwległym trotuarze?

— Owszem, kochanko, on jest bardzo znany w Piotrogrodzie. Życie jego to cały romans. Jako młodzieniec tonął w wirze światowych uciech i odnosił wszelkiego rodzaju tryumfy. W trzydziestym roku zakochał się w pewnej pannie, ożenił się z nią i od tego czasu zniknął z horyzontu. Poza interesami, które prowadzi świetnie, nie dba o nic; prawie że się z domu nie rusza. I to już trwa jakieś czternaście lat. Nie sprzykrzyła mu się żona, ani on jej się nie sprzykrzył. To najprzykładniejsza para małżeńska w całem mieście. Wystarczają sami sobie; prawie że nie przyjmują. Ale wygląda jakoś posępnie... Widocznie rewolucja zaniepokoiła naszych finansistów... E! przystosują się do niej prędko.

— Nie powiedziała mi pani jeszcze jego nazwiska — rzekła Lydja, ścigając zamyślonym wzrokiem przechodnia.

— Nazywa się Mikołaj Władymirowicz Sawinski; jest prezesem Północnego Banku.

— Sawinski — rzekł pan domu, zbliżając się nagle.—Muszę się z nim zobaczyć.

Dopiero teraz zauważono, że Iwan Szupow-Karamin nie brał żadnego udziału w ogólnej radości i nie podchodził nawet do okien.

Jego wielka, blada, nabrzmiała twarz, i trzęsące się policzki, które czyniły go podobnym do Ludwika XVIII-go, były dziś sine.

— Sawinski — powtórzył, bardzo podniecony.—Muszę z nim pomówić.

Wyjrzał przez okno, poczem upewniwszy się, że tamtego zdoła jeszcze dopędzić, dodał:

— Biegnę za nim. Ale czy można wyjść? Czy strzelają jeszcze?

I z całą szybkością swych krótkich nóżek potoczył się ku drzwiom.

Ale zawrócił nagle, rzucił się na więź kwiatów zdobiącą kąt salonu, zerwał szeroką, czerwoną wstążkę, która ją otaczała, przesunął przez butonierkę i zrobił sobie z niej olbrzymią kokardę.

— Trzeba się stosować do mody — rzekł drwiąco.

I tak to Iwan Szupow-Karamin, wczoraj jeszcze minister Jego Cesarskiej Wysokości Mikołaja II-go, wyszedł na ulicę z butonierką zdobną w czerwoną oznakę, w pierwszy dzień rewolucji.

Nie mógł jednak dopędzić Sawinskiego, który przyspieszył kroku i zniknął na rogu placu Suworowa. Szupow-Karamin zadyszany zatrzymał się. Niezwykły wygląd prawie pustej ulicy przestraszył go nagle. Wykręcił się na pięcie i wrócił do domu.

* * *

Sawinski szedł krokiem równym, rozglądając się na prawo i na lewo i szukając sanek. Ale owego poniedziałku piotrogrodzcy izwoszczykowie pozostali w domu i to jedno wystarczyło, aby zmienić fizjognomję miasta, gdyż ich stowarzyszenie pozostało dotychczas obojętnem na wstrząsające stolicą rozruchy. Poprzedniego dnia jeszcze widziano ich, albo przejeżdżających stępa i odwracających się tylko, aby przepuścić wojska lub pochody manifestantów, których zdawali się nie rozróżniać jednych od drugich, lub stacjonujących po dawnemu na rogach ulic, skulonych na koźle, w nasuniętych na czoła futrzanych czapach z oczami przymkniętemi, pogrążonych w swej wieczystej, drzemliwej zadumie.

Ale w ten pierwszy poniedziałek rewolucji pozostali u siebie i pili herbatę, zagryzając ją czerstwym chlebem.

Sawinski, który mieszkał na lewym brzegu Newy, zapuścił się na most Troicki. Nie zwracał żadnej uwagi na to, co go otaczało. Zaledwie spotrzegał częste przejazdy wojskowych samochodów, po obu stronach których na przednich stopniach leżeli żołnierze z wyciągniętemi przed siebie karabinami, niby groteskowa parodja starożytnych Zwycięstw.

Od strony mostu Litejnego ludzie przechodzili szeroką rzekę po lodzie. Słońce zsuwało się już ku zachodowi. Sawinski zdumiał, widząc, że trójkolorowa, narodowa chorągiew powiewała jeszcze nad Petropawłowską twierdzą. Powietrze było zimne, wiatr ostry.

Sawinski szedł ze dwadzieścia minut, poczem zatrzymał się przed wielką kamienicą na Prospekcie Kamiennoostrow, gdzie mieszkał.

Żona czekała na męża i skoro tylko usłyszała stuk otwierających się drzwi, wybiegła na jego spotkanie i ucałowała go.

Zofja Sawinskaja była piękną, trzydziestoparoletnią kobietą. Włosy nosiła zaplecione w warkocze i owinięte dokoła głowy, co podnosiło jeszcze regularność jej rysów i dodawało wyrazu jej pięknym oczom, czarnym i spokojnym. Mogła była mieć ogromne powodzenie w świecie, ale gardziła niem i nie bywała nigdzie. Zgadzała się pod tym względem z nowem usposobiem ukochanego człowieka.

Nie widywano ich nigdzie. Pośród najbardziej swobodnego w Europie społeczeństwa dawali rzadki przykład małżeństwa, o którem nie

można było nic powiedzieć, ani o mężu ani o żonie.

W chwili gdy zaczyna się to opowiadanie, mieli troje dzieci, dwunastoletniego synka Borysa i dwie córeczki dziesięcio i czteroletnią. Pani Sawinska spodziewała się na jesień czwartego dziecka.

Uścisnąwszy męża czulej, niż zwykle, rzekła zaniepokojonym głosem:

— Jak ja się bałam! Gdzieżeś był? Powiedz, co słychać?

Mikołaj Sawinski wzruszył ramionami.

— Nic dobrego, moja droga — rzekł.— Jak wiesz, żołnierze przeszli na stronę ludu.

— Ale o ile słyszałam, wszystko się odbywa spokojnie — rzekła, prowadząc męża do małego saloniku— bez rozlewu krwi, dzięki Bogu. Będziemy mieli rząd złożony z dzielnych ludzi: twój przyjaciel książę Lwow, Rodzianko, Milukow.

Czoło Sawinskiego sfałdowało się. Piękna jego twarz była zatroskana. Zdobył się jednak na uśmiech i rzekł:

— Droga Soniu, wchodzimy w czasy niespokojne. Co będzie jutro, tego nikt przewidzieć nie może. Znasz ten kraj tylko przez pryzmat twego serca. Obawiam się mocno, żebyś się nie łudziła. W każdym razie dla ciebie i dla dzieci atmosfera Piotrogrodu stanie się niedobrą. Skoro tylko lody puszczą, pojedziecie na wieś; ale nie do nas tym razem. Napiszę jutro do mego agenta w Helsingforsie, aby wynalazł jaką willę w Finlandji blizko Wyborga. W ten sposób będę was mógł widywać i nie tracić z wami łączności. A jeżeli rzeczy wezmą zbyt zły obrót, przejdę również granicę. Mam pieniądze za granicą; będziemy mogli przeczekać tam... zawieruchę, czy burzę.

Teraz z kolei Zofja zmarszczyła brwi i spoważniała. Wiedziała jednak, że nie należy sprzeciwiać się mężowi wręcz; rzekła więc tylko:

— Wiesz, że nie zaznam spokoju zdala od ciebie i wiedząc, że tu jesteś. Będę się trwożyła co chwila, a jeżeli dzienniki doniosą o rozruchach w mieście, co się ze mną stanie?

— No, no, nie puszczaj wodzy wyobraźni. Wszystko odbyło się jak najspokojniej w świecie. Najtrudniejsze mamy już za sobą.

Mikołaj jął rozwijać przed żoną pocieszające perspektywy; ale ponure przeczucia obsiadły mu duszę. Pozostał wrażliwym, pomimo, że bronił się przeciw wrażliwości. Obraz tych trzech minionych dni, nieład uliczny, anarchja widoczna na każdym kroku, przykro na niego oddziałały. Nie mógł zatrzeć w pamięci widoków, na jakie patrzył, a z pomiędzy wszystkich dwa zwłaszcza rysowały się z nadzwyczajną wyrazistością.

Pierwszym był ów z ubiegłej soboty, kiedy czekając na swoje sanki przed hotelem Europejskim usłyszał strzelanie wojska na Newskim Prospekcie. Czuł, że nie zapomni nigdy tych pierwszych wystrzałów; były one zapowiedzią najstraszniejszej z wojen: wojny domowej.

A potem wzburzona fala przerażonego tłumu; strach wyzierający z oczu wszystkich, nieład straszliwy, zamęt i wreszcie to dziewczątko, co padło u jego stóp. Jakie to było ładne i wdzięczne stworzenie! Widział jeszcze jej wystraszoną twarzyczkę, jej oczy błagalne i tę dolną wargę dosyć mięsistą, zlekka jakby rozłupaną pośrodku i drżącą. Wyglądała jak zraniony przez myśliwca ptak, który pada i którego serduszko bije gwałtownie w ręku podnoszącego go człowieka. Ileż to delikatnych istot zmiażdży ta walka, pomyślał wtedy, i to wrażenie było tak silnem, że nie zatarło się odtąd.

Druga scena rozegrała się dzisiaj. Unikając żołnierskiej nawały, tłoczącej się Newskim, Sawinski schował się do sieni jednego z domów, którego znajomy szwajcar uchylił mu drzwi.

Kilka osób schroniło się tam również, a pomiędzy niemi zauważył pułkownika sztabu o czarno-białych epoletach.

Był to mężczyzna już niemłody o twarzy inteligentnej i poważnej. Stał tam, straszliwie blady i Sawinski zauważył, że wzdrygał się za każdym wystrzałem. A jednak byłby przysiągł, że pułkownik się nie bał. Jakieś inne uczucie wstrząsało nim, głębokie i niewysłowione.

Nagle młody ochotnik oficer zbliżył się do pułkownika, z którym zawiązał żywą rozmowę po cichu. Sawinski przysunął się. Ochotnik mówił:

— Tak trzeba, pułkowniku, trzeba koniecznie. Zabito generała dowodzącego odlewnią w Litejnem, a skoro tylko spotkają oficerów, degradują ich.

Pułkownik nic nie odrzekł, ale twarz mu się wzburzyła. Wzruszył ramionami.

— Cóż robić! — rzekł.

I ochotnik zaczął zdejmować mu epolety. Robił to możliwie najdelikatniej. Poczem gdy skończył, podał je pułkownikowi, który je wsunął do kieszeni. Sawinskiemu wydało się, że widzi łzę, jedną łzę w jego oczach suchych i błyszczących.

— Chodźmy! — rzekł pułkownik.

Wyszedł, a Sawinski tuż za nim. Pułkownik szedł z trudem; wyglądał, jakby postarzał o dwadzieścia lat.

Sawinski nie mógł wymazać tej sceny z pamięci, i przed jego oczami migały naprzemiany postacie dzieweczki, którą podniósł i pułkownika, nad którym pochylał się ochotnik.

Widział je jeszcze w tej chwili, gdy w ciszy swego saloniku, opowiadał żonie tysiące pocieszających rzeczy. Udało mu się wreszcie uspokoić ją, a gdy oznajmiono obiad, do którego razem z dziećmi zasiedli, Sonia odzyskała swe zwykłe, pogodne usposobienie.

Młodziutki Borys, bardzo duży na swój wiek, dobrze zbudowany o żywych oczach, żądny był szczegółów ubiegłego dnia. Lyceum, do którego uczęszczał, zamknięte było tego dnia i ojciec zabronił mu wychodzić na ulicę, co chłopcu wielce się nie podobało. Wiedział więc tylko to, co zasłyszał od służby, a dramatyczne opowiadania tych ludzi rozgorączkowały go.

Według nich, krew płynęła strumieniami po ulicach; połowa wojska pozostała wierną cesarzowi i pułki zupełnie pewne odwołane z północnego frontu, odległego zaledwie o kilkaset wiorst, miały przywrócić porządek w stolicy.

Mikołaj Sawinski słuchał z przyjemnością namiętnych wynurzeń syna, a ze sposobu, w jaki na niego patrzył, łatwo było wywnioskować, że kocha tego malca i jest z niego dumnym.

Spokojnie sprostował mylne wieści i w dalszym ciągu mówił wobec żony o rewolucji w najoptymistyczniejszy sposób. To nie zadowolniło Borysa, który wykrzyknął:

— Ależ tatusiu, to się tak odbyć nie może! Sam w to nie wierzysz. Będą się bili, z pewnością. A! gdybym był dorosłym, chwyciłbym także za karabin i biłbym się.

— Za kogo? — przerwał ojciec.

— Za wolność! — wykrzyknął malec z zapałem.

— Zdaje mi się, kochanku — rzekł Sawinski — że do bitwy nie dojdzie. Nikt się już bić nie chce.

I głos jego pomimowoli nabrał smutnego, poważnego dźwięku.

Dalszy ciąg nastąpi.